

opusdei.org

Scenariusz napisany przez Pana Boga

Trzy tygodnie temu, kilkanaście dni po swoich 80. urodzinach, zmarła moja Mama. Napisany przez Pana Boga scenariusz został odegrany, z happy endem.

19-04-2021

A jednak to COVID

Trzy tygodnie temu, kilkanaście dni po swoich 80. urodzinach, zmarła moja Mama. Chciałabym opisać historię walki o wizytę księdza, który

udzieliłby jej sakramentów, w jednym z tymczasowych szpitali covidowych w wielkim mieście. Chcę tym świadectwem dodać odwagi wszystkim znajdującym się w podobnej sytuacji. Kiedy z różnych stron będzie do Was docierać gasząca nadzieję: *tu nic się nie da zrobić* – pamiętajcie, że jednak się dało. Wspólnym wysiłkiem, z Bożą pomocą, jesteśmy w stanie rozbić mur. *Inter medium montium pertransibunt aquae* – wody przedostaną się przez góry.

Patrzę ze wzruszeniem na zdjęcie rodzinne zrobione w dniu Bożego Narodzenia. Nikt nie przypuszczał, że te pełne radości chwile to nasze ostatnie spotkanie w “pełnym składzie” – z Babcią i całą siódemką wnucząt – tu na ziemi. Najstarszy wnuk – Benek przyleciał z Panamy, Schola przyjechała w Włoch. Ze względu na to, że byli w komplecie, przyspieszyliśmy termin I Komunii

św. najmłodszego – Maksa.

Wszechobecny temat pandemii zakradł się do naszych świątecznych rozmów. Babcia opowiadała, że chce się zaszczepić i czeka na wyznaczony termin.

Dwukrotnie tuż przed zaplanowaną wizytą w punkcie medycznym nagle pojawiały się symptomy niegroźnej infekcji, a więc szczepienie trzeba było przesunąć. Kolejna infekcja też początkowo wydawała się niegroźna, ale okazało się inaczej. Pojawiła się gorączka, kaszel, ból głowy. Test PCR. A jednak to COVID. Można by powiedzieć, że Mama miała pecha. Ale ja myślę, że to Pan Bóg miał od dawna w swoim kalendarzu wpisany termin spotkania – ważniejszy od terminu szczepienia – i nie chciał go przekładać, bo tęsknił za nią.

W poszukiwaniu kontaktu

Po kilku dniach saturacja znacząco spadła. Pogotowie. Szpital. Wszyscy

mnie pocieszali, że Mama wyjdzie z tego, że śmiertelność w przypadku COVID wynosi coś około 2%, że przecież tyle osób się modli, że nie wyobrażają sobie, żeby mogło być inaczej. Ale ja od początku miałam wewnętrzne przekonanie, że będzie inaczej i od początku modliłam się nie o zdrowie Mamy, tylko o dobrą śmierć. Ona sama też jakby przeczuwała zbliżające się wydarzenia – czekając na karetkę, drżącą ręką napisała do nas ostatni, pożegnalny list.

Przez pierwsze dwa dni pobytu w szpitalu Mama nie odbierała telefonu – może była tak słaba, a może rozmowa z nami byłaby dla niej zbyt wielkim wzruszeniem. Nie wiedziałam nawet, dokąd ją zawieźli. Po dwunastu godzinach, dzwoniąc po raz kolejny na pogotowie, udało mi się ustalić miejsce jej pobytu. Ale nadal nie mogłam zdobyć żadnego kontaktu do szpitala – nie było go w

internecie, szpital nie posiada swojej strony, nikt nie umiał mi go podać w innym szpitalu, pod który ten tymczasowy na razie podlega, nie znajdował się w rejestrze informacji medycznej ani NFZ.

Po dwóch dniach postanowiłam pojechać na miejsce. Tego dnia Mama obchodziła 80. urodziny. Do paczki z podstawowymi rzeczami dołożyłam bukiet róż. Siedziałam już w samochodzie, gdy nagle myśl przebiegła mi przez głowę, rozkazując wrócić się, żeby do paczki dorzucić różaniec, *Drogę* i obrazek ks. Alvaro – który urodził się tego samego dnia, co Mama (tę zbieżność dat odkryłam wcześniej, myślę, że w całej sprawie on także odegrał swą dyskretną rolę). Rzeczy udało się przekazać przez pana z ochrony, choć nie znałam nawet numeru pokoju. Życzliwy portier dał mi numer telefonu do gabinetu

lekarskiego. Oczywiście, nie było mowy o wejściu do środka.

Godziny przy telefonie

Mama zaczęła odbierać komórkę. Rozmowy były krótkie i urywane. Żeby coś powiedzieć, musiała zdjąć maskę z tlenem, a bez niej od razu zaczynała się dusić. Pytała o wnuki, żałowała, że nie może się z nimi pożegnać. Mówiła, że umiera, choć trudno było powiedzieć, jak jest naprawdę. Lekarze określali jej stan jako stabilny. Zapytałam, czy chciałyby przyjąć sakramenty, jeśli to będzie możliwe. Mama potwierdziła, a ja zaczęłam spędzać długie godziny przy telefonie.

Dzwoniłam do szpitala wielokrotnie w ciągu dnia. Często nikt nie odbierał. W szpitalu stale brakuje personelu, a ci, którzy są na dyżurze, nie wiedzą, w co ręce włożyć. Za każdym razem, gdy słyszałam głos w słuchawce, oprócz informacji o

stanie zdrowia Mamy, usiłowałam się także dowiedzieć, czy jest możliwość wizyty księdza. Początkowo otrzymywałam odpowiedź: "*Zajmiemy się sprawą*". Ale kolejne telefony odbierały inne osoby, które nic nie wiedziały i słyszałam to samo. Po kilku dniach uzyskałam informację, że szpital nie ma kapelana i nie ma możliwości wpuszczenia księdza z zewnątrz.

Równolegle dzwoniłam do miejscowej parafii, uzyskując podobną odpowiedź w rozmowie z wikariuszami i proboszczem: nie mają umowy ze szpitalem, podejmują starania, ale na razie *nic się nie da zrobić*. Dzwoniłam do kapelanów w innych szpitalach (najbliższych oraz covidowych), szukając rady i pomocy, której nikt nie był w stanie mi udzielić.

Tymczasem poziom saturacji - mimo tlenu i kroplówek, wciąż nieubłagane spadał.

Trzeba się spodziewać najgorszego

Mama trafiła pod respirator z ciężką niewydolnością płuc i serca. Lekarze mówili, że trzeba się spodziewać najgorszego. Ale przecież w perspektywie wiary śmierć nie jest tym, co najgorsze. Tym, co najgorsze jest odłączenie od Boga. Mama umierała samotna, choć jednocześnie otulona modlitwami wielu przyjaciół. Może to dzięki tym modlitwom, zanoszonym za wstawiennictwem św. Józefa, patrona dobrej śmierci – *w którego mocy jest uczynienie możliwym tego, co niemożliwe* – po tygodniu nieustannych telefonów – pojawiło się światło.

Jedna z osób z personelu szpitala dała mi bezpośredni telefon do pani ordynator, z zapewnieniem, że to *dobra osoba i może pomoże*. Udało się skontaktować z panią ordynator, która zapewniła mnie, że jeśli znajdę

księdza gotowego przyjść do szpitala, ona osobiście go wpuści i zaprowadzi do Mamy. Z tą radosną informacją dzwoniłam znów do miejscowej parafii. Ostatecznie to zaprzyjaźniony ksiądz z Dzieła zadeklarował gotowość wejścia do szpitala.

Mając już umówionego księdza, zadzwoniłam ponownie na oddział, żeby ustalić godzinę. Ponieważ nie zastałam pani ordynator, powiedziałam o sprawie innemu lekarzowi, który zareagował nerwowo. Kolejna noc pełna niepokoju i ufnej modlitwy. Nazajutrz z samego rana telefon do pani ordynator, która potwierdziła wolę wpuszczenia księdza i osobistego zajęcia się wszystkim.

Wreszcie udało się

Ksiądz jeszcze tego samego dnia pojechał do szpitala. *"Byłem u Mamy, udzieliłem namaszczenia"* – długo

wpatrywałam się w treść sms-a, nie mogąc uwierzyć w to, że się udało. Ale to nie koniec historii. Pani ordynator z przygotowaną listą kilkudziesięciu chorych oprowadziła księdza po całym szpitalu. Wszyscy pacjenci, którzy tego pragnęli, mogli przyjąć sakramenty święte – być może po raz pierwszy od długiego czasu. Głęboko wzruszona pani ordynator zadzwoniła do mnie zaraz po wyjściu księdza, opowiadając, jak bardzo ci umierający w wielkim lęku, samotności i cierpieniu ludzie byli wdzięczni i szczęśliwi. W szpitalne mury, dotąd budzące tylko rozpacz i grozę, wstąpiła niespodziewana wiosna radości i nadziei.

Potem byłam już spokojna. Dziewiątego dnia rano – gdy wychodziłam z kaplicy, gdzie przed Najświętszym Sakramentem modliłam się w intencji Mamy, zadzwonił telefon ze szpitala. Tej nocy odeszła do Pana. Jej życie nie

zawsze układało się w linię prostą,
ale na ostatnią drogę była
przygotowana. Poczułam, że serce
bije mi w zawrotnym tempie. To nie
był smutek, tylko pełna wzruszenia,
niemal radosna ekscytacja. Napisany
przez Pana Boga scenariusz został
odegrany, z happy endem.

Agnieszka K.

Od Wydawcy: Agnieszka nie
poprzestała na jednorazowej akcji.
Dzięki jej zaangażowaniu i pomocy
kapelana z sąsiedniego szpitala udało
się znaleźć księdza i zorganizować
stałą opiekę duszpasterską na
oddziale covidowym.